



Grzegorz
BRUDNIK

SZAFARZ

„Realistyczna, bezpardonowa, szorstka, sięgająca najgłębszych pokładów zła i odzierająca ze złudzeń“.

MAREK STELAR

FILIA

Grzegorz BRUDNIK

SZAFARZ

FILIA

Monice

*Nie ma nic bardziej dojmującego
niż samotność w dwumilionowej metropolii*

ROZDZIAŁ 1

Dzień 365

Ostatni dzień roku chyba jeszcze nigdy w historii nie był tak gówniany. Za ciepły na zimę, za zimny na cokolwiek innego. Trudno było uwierzyć, że to coś, co tam, na górze, odrobinę rozjaśniało gęstą, lepłą od brudu firanę, to faktycznie słońce. Raczej jakaś proteza. Coś, co tu przysłano, bo nie było niczego lepszego. Ot, Częstochowa, jak zawsze w ostatniej kolejności. Jak zawsze niskim kosztem. Słońce w zastępstwie, powietrze tak przepęlnione pyłami, że trzeba je było wyciągać spomiędzy zębów, żółto-brunatny śnieg, który z pewnością miał w sobie więcej atomów siarki niż cząsteczek wody. Miejsce, gdzie głupieją artyści fotograficy, bo choćby nie wiadomo jak długo walczyli z ekspozycją i nasyceniem, zdjęcie i tak zawsze wychodzi czarno-białe.

I on. Nic lepszy niż ściek, w którym leżał. Nic bardziej ludzki niż duchy o rozchybotanych, rozmytych sylwetkach, które unosząc się kilka centymetrów nad ziemią, przemykały stąd tam, a stamtąd ówdzie, targając pod pachami kolorowe butelki z kolorowym alkoholem. Jedyne widoczny znak nadchodzącego sylwestra. I jedyne kolory w szarzącym już mieście.

Pies polizał go po twarzy. Trochę czarny, trochę biały. Ni to mały, ni to duży. Co to, do cholery, za pies? Faktycznie, był tu z nim już od kilku godzin. Dwóch włóczęgów podpierających ścianę teatru imienia wieszca. *To straszne* – pomyślał mężczyzna, żeby sztuka opierała się na tak marnych plecach.

Ci dwaj wyglądali podobnie i byli podobni. Człowiek i pies. Obaj zmarnowani. Obaj bez wizji jutra i nie pamiętający „wczoraj”. Wtuleni w siebie, bo tak cieplej, wygodniej, a i iluzja tego, że jest ktoś obok, to też zawsze coś.

Pies ponownie polizał człowieka po twarzy, a człowiek ponownie ledwo zareagował. Tam, w tym drugim świecie, było znacznie przyjemniej. Nic nie bolało, a dusza najmniej. Nie było zimno, nie było mokro. I nie było tak przeraźliwie źle. Dawniej ciężko mu

było przeskakiwać pomiędzy tymi światami. Tam łatwo było się dostać, za to powroty były trudne. Postanowił więc wracać najrzadziej, jak tylko się da. Teraz też nie planował.

Tylko ten cholerny pies.

Otworzył oczy i zrozumiał, że to już koniec wyprawy. Powiedział mu o tym ból. Receptory bólu długo czekały na swoją szansę, a teraz, gdy w końcu poinformowano je, że nadszedł ich czas, uwolniły taką ilość proteaz, że mogłyby zalać niewielkie państwo. Ale on już to znał. Już się z tym pogodził. Jego życie po prostu tak wyglądało. Ból jako codzienna rutyna.

Szarpnął się i zdążył ułożyć tak, że wymiociny nie zanieczyściły ani jego znoszonej, trochę za dużej kurtki w kolorze nie wiadomo czego, ani psa, który widząc, co się święci, zwyczajnie dał nogę.

– Ja pierdołę – powiedział mężczyzna, bo na nic więcej zwyczajnie nie było go stać. Obraz przed oczami wciąż miał rozedrgany. Pozycja, w której leżał, ograniczała mu perspektywę. Widział chodnik pokryty błotem pośniegowym i wszystko, co znajdowało się do pół metra powyżej. Widział, że w oddali, na ulicy stoi samochód. Dość niezwykle, bo nie powinien tu stać. Zakaz. Z pewnością był tu zakaz. Widział również buty. Brązowe. Ani stare, ani nowe. Zupełnie nijakie. Ale porządne. I w miarę czyste. Z butów wystawały nogi. Widział łydki i kolana otulone znoszonym czarnym jeansem. Zbliżały się. W końcu dotarły na miejsce. Mężczyzna leżący na ziemi mógłby je polizać, gdyby tylko chciał. Uniósł lekko głowę i teraz jego oczom ukazała się para dłoni. Jedna naciągała na drugą lateksową rękawiczkę. Za chwilę druga odwdzięczyła się pierwszej tym samym. A jeszcze później jedna z nich wystrzeliła ku twarzy mężczyzny, chwyciła go dwoma palcami po obu stronach podbródka i zmusiła, by spojrzął w oczy jej właścicielowi.

– Jezu, Lichy – powiedział wąsaty mężczyzna – coś ty ze sobą zrobił?

Przybysz nie doczekał się odpowiedzi, ale także jej nie oczekiwał.

– Wstawaj – rozkazał, łapiąc pijaka za klapy kurtki. Miał już swoje lata, jednak był silnym i postawnym mężczyzną. Przydało mu się to teraz, bo Lichy nie był mały. Sto dziewięćdziesiąt centymetrów i dziewięćdziesiąt kilo półprzutomnego człowieka niełatwo jest podnieść z ulicy. Na szczęście Lichy już współpracował.

Nieporadnie, ale łapał pion. Wciąż jeszcze musiał przeciwdziałać sile ciężenia podtrzymujący go mężczyzna, jednak to tylko jeden wektor. Bo do przodu Lichy poruszał się o własnych siłach.

Skądś nadbiegł pies. Ten sam. Trochę czarny, trochę biały. Ni to mały, ni duży, ni to ładny, ni brzydki. Za to głośny i agresywny. Obcy zamachnął się nogą, zwierzę zaskomlało i uciekło. Przecięło pustą jezdnię i zniknęło gdzieś w ozdobnym żywopłocie.

– Wsiadaj – powiedział, gdy dotarli do auta. Lichy posłuchał. Usiadł na fotelu obok kierowcy i zapiął pas.

Jechali w milczeniu, ale nie w ciszy. Wycieraczki były wyrobione, bo każdemu ich ruchowi towarzyszył nieprzyjemny pisk. Radio coś tam grało, choć więcej w tym było szumu i zakłóceń niż jakiegokolwiek muzyki. No i deszcz. Deszcz walił w dach, a Lichego zdawało się, że wprost w jego głowę.

– Chcesz o coś zapytać? – zaczął kierowca.

– Dlaczego kopnął pan psa? – wymamrotał Lichy, wciąż jeszcze nienawykły do korzystania z aparatu mowy. Nie robił tego od kilku dni.

– Nie wiem. Naprawdę. Żałuję – przyznał kierowca.

– Bardzo śmierdzą?

– Bardzo.

Więcej słów nie było. Tylko deszcz rozbijający się o głowę Lichego.

Później gdy załoga izby wytrzeźwień na ulicy Sikorskiego od dawiała podinspektorowi Andrzejowi Krzywańskiemu przysługę, stary policjant po raz pierwszy zrozumiał, że jest naprawdę zde-sperowany.

– Po co ci to, Krzywy? – zapytał Kownacki, szef placówki i stary kolega Krzywańskiego jeszcze z tych mrocznych, lecz na szczęście niemal zupełnie już zapomnianych czasów, gdy umytego i przebranego Lichego w nieszczerólnie delikatny sposób pozba-wiano skołtunionego zarostu.

– Potrzebuję go – odparł krótko Krzywański.

– To śmieć.

– To jeden z najlepszych śledczych w kraju. Absolutnie wyjąt-kowy. A ja potrzebuję każdego, kto mi może pomóc.

– To się nigdy nie opłaca, Krzywy. Wiesz?

– A co się w życiu opłaca? Jestem zmęczony, Tomek. Jeśli on mi ulży, to...

– Ulży. – Kownacki się zaśmiał. – Na pewno ulży. Krzywy, to jest Lichy. Człowiek znany z tego, że za co nie złapie, zamienia to w proch. Jest jak deszcz w upalny, letni dzień. W taki, no wiesz, najgorszy, najgorętszy z dni. Kiedy krew ci bulgocze w żyłach i nie ma czym oddychać. Przychodzi deszcz. Ulewa. Schładza cię i przynosi ulgę. Tyle że nie przestaje padać, a tylko się nasila. Ulice zmieniają się w potoki, potoki występują z brzegów. Wszystko to wpierdala się do miasta i zalewa je gównem, rozumiesz? Pięć minut ulgi i miśnię sprzątnięcia.

– Powinieneś się zgłosić na jakiś poetycki *slam*, czy jak to się tam nazywa? – Krzywański zaśmiał się cierpko.

– A daj spokój.

– Ja wiem, że masz rację, Tomek. A ty wiesz, że i tak go wezmę. Bo nie mam wyjścia. Bo już działałam na granicy prawa, a z pewnością poza granicą moralności.

– Nie zazdroszczę ci.

– Słusznie.

– A Cyra?

– Co z nim?

– Też go masz u siebie. Wie o Lichym? I co ważniejsze, czy Lichy wie o Cyrze?

Odpowiedziało mu milczenie, więc wyciągnął jedyny słuszny wniosek.

– Jezu, Krzywy, będziesz tam miał grzmoty.

– Jakie grzmoty?

– Pozabijają się.

Rozległ się nieprzyjemny, wysoki brzęk i zamek kraty puścił. Z sąsiedniego pomieszczenia wyszedł odziany w biały fartuch pracownik placówki, a zaraz za nim nowy Lichy. Był nie do poznania. Przede wszystkim czysty. Miał na sobie szare dresowe spodnie i czarną, trochę za dużą bluzę, której rękawy podwinął. Włosy i zarost ogolone niemal na zero. Teraz dopiero widać było, że twarz ma niezwyklej urody. Niemal dziewczęcą.

Pracownik szybko się ulotnił i Lichy stał przez chwilę, niepewnie rozglądając się dookoła. W końcu dostrzegł Krzywańskiego i niespieszonym krokiem ruszył w jego kierunku.

– Jest i on – powiedział cicho Kownacki. – Legendarny piękny chłopiec.

– We własnej osobie. – Krzywański westchnął.

- Podobno to właśnie przez tę swoją urodę zwariował.
- Dzięki za pomoc, Tomek. Odwdzięczę się.
- Taaa, kolejną prośbą o pomoc.

Droga do Bytomia niezwykle im się dłużyła. Przede wszystkim dlatego, że ze sobą nie rozmawiali. Jakaś lokalna stacja grała amerykańskie świąteczne szlagiery, jakby zignorowała fakt, że od świąt minął już tydzień. Frank Sinatra jak zawsze dawał z siebie wszystko, jednak jego pieśń o małym bębniarzu, który nic nie miał, więc w stajence zaproponował Zbawicielowi trochę hałasu na bębnie, z trudem przedzierając się przez szумы i trzaski. Najwyraźniej antena w służbowym fiacie bravo niedomagała, choć przecież była to druga generacja i pewnie nawet młodsza niż dziesięć lat.

Krajową jedynekę na tym odcinku dawniej zwano Gierkówką. Zbudowano ją za zagraniczne pieniądze z kredytów i dlatego, że naród pomógł. Wówczas to było coś. Dwa pasy w każdą stronę, większa dozwolona prędkość, nieliczne skrzyżowania. Komunikacyjny krwiobieg Jury i Górnego Śląska. Jednak PRL nie był jednym z tych fit-młodzieńców. Przeciwnie. Nie dbał o siebie przesadnie, więc i jego żyły były zatłuszczone, przewężone złogami i z wyraźnymi zmianami miażdżycowymi. Przez to wlekli się w tłumie aut, z rzadką jedynie przekraczając sześćdziesiątkę. Z nieba padało coś, czego śniegiem nie określiłaby żadna z definicji, a jedynie z braku lepszego słowa tak właśnie ów opad nazywała radiowa pogodynka. Nim dolatywało do szyby, było już jedynie mokrą, brudną plamą, natychmiast odsyłaną do lokalnej zlewni przez bez wytchnienia pracujące wycieraczki.

Krzywański skupiony był na drodze, a jechało mu się tak źle, że ledwo dał radę zerkać w lusterka, a co dopiero na swojego pasażera. Jednak kilka razy mu się udało. Lichy zdawał się być nieobecny. To oczywiste, że alkohol wciąż go otępiał, czy to jednak możliwe, by człowiek zabrany w środku dnia wprost z ulicy przez obcego człowieka, nie miał zupełnie żadnych pytań? Bo Lichy nie miał. A jeśli miał, to nie zdecydował się ich zadać.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał w końcu Krzywański. Lichy nie spojrzał na kierowcę, ale wykonał jakiś dziwny ruch głową. Mógł oznaczać potwierdzenie, zaprzeczenie, właściwie cokolwiek.

– Wiesz? – powtórzył kierowca.

– Z policji – odpowiedział cicho Lichy.

– Podinspektor Andrzej Krzywański.

– Aha.

I na tym rozmowa się skończyła.

Pod starą, zrujnowaną kamienicę na ulicy Kościelnej w Bytomiu zajechali koło dwudziestej drugiej. Gdy wysiedli z auta, zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Niezidentyfikowany opad nasilił się jeszcze, a w dodatku chwycił mróz. Działała tylko jedna uliczna latarnia. Okoliczni mieszkańcy zazdrośnie strzegli tej odrobiny światła, która im jeszcze została w dobie energooszczędnych niskowatowych żarówek. Okna mieli pozasłaniane grubymi storami, nijakimi roletami o trudnym do określenia kolorze i w gruncie rzeczy trudnej do określenia funkcji, a gdzieś tam nawet starymi, metalowymi żaluzjami, modnymi w połowie lat dziewięćdziesiątych.

Jednak nawet mimo zalegającej ciemności, Lichy widział tabliczkę przymocowaną po lewej stronie od drzwi, ku którym skierował się Krzywański, informującą, że kamienica grozi zawaleniem i wstęp do niej jest surowo zabroniony. Tak właśnie napisano. Surowo zabroniony. Lichy zawsze się zastanawiał, skąd potrzeba stosowania przysłowka w tym sformułowaniu. Czy bez niego zakaz byłby mniej jednoznaczny? Czy w ogóle zakaz można jakoś stopniować?

Okna kamienicy zabite były deskami, a fasadę otulała siatka zabezpieczająca. Tak na wypadek, gdyby jakaś cegła lub inny element konstrukcji postanowił spaść komuś na głowę. A jednak podinspektor pogmerał chwilę przy starym, topornym zamku, a następnie pchnął drzwi i wszedł do środka. Lichy zdążył jedynie dostrzec rękę policjanta, która przyzywała go niecierpliwym, trochę rozedrganym ruchem.

– Pośpiesz się – powiedział Krzywański. – Nie możemy tu zwracać na siebie uwagi.

Lichy wzruszył ramionami i wszedł do środka. Krzywański zamknął za nim drzwi i na chwilę zrobiło się zupełnie ciemno. Potem dał się słyszeć dziwny, nieprzyjemny dla ucha dźwięk i głośne kliknięcie. Drzwi, które tym razem się otworzyły, nie były już tymczasowe. Do pomieszczenia wpadło światło i Lichy mógł mu się w końcu przyjrzeć. Było czymś w rodzaju przedsionka. Czy też może raczej zmyłki dla przypadkowych miejskich eksploratorów albo pijacków szukających schronienia przed deszczem.

– Zamek na kartę? – zdziwił się. – W tej ruderze?

– Chodź – powiedział Krzywański, wykonując zapraszający gest.

Po minięciu drzwi znaleźli się we właściwej części kamienicy. Paliło się światło i łatwo było dostrzec, że choć budynek lata świetności ma za sobą, to bardzo daleko mu było do statusu „grozi zawaleniem”.

– Jedna z nie do końca oficjalnych policyjnych nieruchomości – wyjaśnił podinspektor, najwyraźniej czytając w myślach swojego gościa. – Przejęliśmy ją od jednego z pomniejszych lokalnych gangów i wykorzystujemy przy różnych okazjach. Z zewnątrz wygląda przeciętnie, ale przekonasz się, że pozwala na komfortową pracę.

Schody były drewniane i nieprzyjemnie skrzypiały pod nogami. Lichy pomyślał, że taki właśnie dźwięk musi towarzyszyć potępionym, zepchniętym w czeluść piekła. I zdecydowanie nie chciałby zostać jednym z nich. Odruchowo przytulił się do ściany w tej mozolnej wspinaczce na drugie piętro. W klatce śmierdziało wilgocią i trutką na gryzonie. Lichemu zrobiło się niedobrze i nagle odczuł obawę, że zaraz doda coś od siebie do tej niezwyklej palety zapachów. Nim to jednak nastąpiło, dotarli na miejsce. Krzywański ponownie przyłożył kartę do niewidzialnego czytnika, zabzyczało, kliknęło i drzwi stanęły otworem.

Lokal był usytuowany na przedostatnim oraz ostatnim piętrze i posiadał wewnętrzną klatkę schodową. Było nie tylko czysto, ale całość nosiła nawet ślady jako takiego gustu. Białe ściany poprzeplatane były czarnymi panelami. Na podłodze prawdziwy, pomalowany na czarno parkiet. Wystrój skromny, ale elegancki. Trochę jak *foyer* niewielkiego, prywatnego teatru.

– Tu pracujemy – powiedział Krzywański. – A piętro wyżej śpiemy. Każdy ma swój kącik. Potem cię oprowadzę. Póki co, czekają na nas.

Poprowadził go na sam koniec długiego, wąskiego korytarza, a tam skręcili w lewo i znaleźli się w dużym salonie, służącym trochę za *livingroom*, a trochę za salę konferencyjną. Szum rozmów zniknął, gdy tylko Krzywański wszedł do pomieszczenia. Lichy rozejrzał się, taksując spojrzeniem ludzi siedzących przy długim i szerokim szklanym stole. U szczytu, ze wzrokiem zatopionym w komórce, siedział młody mężczyzna o bliskowschodniej uro-

dzie. Raczej nic go szczególnie nie zajmowało, a zainteresowanie ekranem komórki po prostu udawał, bo wchodząc do pomieszczenia Lichy zdążył jeszcze zauważyć, jak chłopak pośpiesznie zdejmuje nogi ze stołu. Był więc wystarczająco skupiony, by uniknąć bury od szefa. Bo już od pierwszej chwili Lichy nie miał wątpliwości, że Krzywański jest tu szefem. Po lewej stronie siedziały dwie kobiety, jeszcze przed chwilą zajęte rozmową. Jedną, brunetkę, Lichy w myślach określił jako wyjątkowo udaną kandydatkę do podjęcia zadań polegających na zaspokojeniu jego potrzeb seksualnych. Bo nie zaspokajał ich od dawna. Zgodziłaby się? Może później zapyta. Druga, blondynka, raczej nigdy na jego listę nie trafi. Nie była brzydka. Może nawet ładniejsza niż ta pierwsza, ale po prostu mu się nie podobała.

Zganił się w myślach za seksizm. Ale szybko znalazł dla siebie usprawiedliwienie. Bo mężczyźni zawsze je znajdują.

Po prawej, trochę dalej od stołu, a bliżej okna wyglądającego na piękny tokański krajobraz, niestety jedynie naniesiony na fototapetę, siedział mężczyzna, który wyraźnie tam nie pasował. Był pewnie ze dwa razy starszy od wszystkich pozostałych, z wyłączeniem jedynie Krzywańskiego. Już jakiś czas temu musiał przekroczyć siedemdziesiątkę. Starczą łysinę na czubku głowy okalały rzadkie siwe włosy. Wąsy, choć siwe, miał za to gęste, sięgające niżej niż kącik ust i niemodne od przynajmniej trzech dekad. On z nikim nie rozmawiał. W rękę nie trzymał telefonu. Wpatrywał się za to w Lichego z wyraźnie widoczną w oczach mieszkanką zaciekawienia i pogardy.

No i był jeszcze mężczyzna podpierający ścianę po lewej stronie. Trochę dalej od reszty. Bardzo dobrze wyglądający blondyn, w wieku Lichego, ale bez wątplenia prezentujący się o dwie klasy lepiej. Modnie podarte jeansy i biały, obcisły T-shirt na imponującej, choć nie karykaturalnej muskulaturze. On również wpatrywał się w Lichego, ale w jego wzroku nie było zaciekawienia. Pogarda jak najbardziej.

– No dobrze – powiedział Krzywański, zwracając się do Lichego. – Zaraz ci wszystkich przedstawię, ale przypuszczam, że teraz w końcu chciałbyś zadać jakieś pytania.

– Nie.

– Słucham?

– Nie mam żadnych pytań.

– Jak to możliwe? – Dowódca westchnął.

– Po prostu – odparł Lichy. – Nie mam żadnych i wychodzę.

Obrócił się i skierował ku drzwiom. Nim jednak zdążył do nich dotrzeć, blondyn doskoczył do niego, chwycił za bluzę, aż dało się słyszeć pęknięcie szwów w okolicy kołnierza, i pchnął przed siebie tak mocno, że Lichy posadził tyłek na szklanym blacie. Przeciwnik znów do niego doskoczył. I ponownie bluza Lichego stała się o pół rozmiaru szersza.

– Posłuchaj grzecznie, co dowódca ma ci do powiedzenia – syknął blondyn – bo wiele trudu go kosztowało, by znaleźć i przywieźć tu twoją śmierdzącą dupę, przy absolutnym sprzeciwie każdego w tym pomieszczeniu, a moim szczególnie.

– Cyra – warknął Krzywański i blondyn natychmiast podniósł ręce do góry, pokazując, że co złego, to nie on, bo przecież chciał tylko pomóc.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Nikt się nie kwapił, by powiedzieć cokolwiek, a najmniej Lichy. Jednak to on ostatecznie odezwał się jako pierwszy.

– Przepraszam, panie inspektorze – powiedział do Krzywańskiego, jednak patrząc prosto w oczy blondyna. – Przykro mi, że pana zawiodłem. Po prostu nie mogę przebywać w towarzystwie tego człowieka. Gdy widzieliśmy się poprzednio, jakimś cudem udało mi się go nie zabić. Boję się, że następnym razem może mi się nie udać. A nie chciałbym reszty życia przesiedzieć w kryminale.

– Następnym razem połamię ci wszystkie kości, zachlany śmieciu – powiedział Cyra i niespodziewanie roześmiał się, jakby sam fakt, że ktoś taki jak Lichy chciałby się z nim mierzyć, był naprawdę dobrym żartem. Ale wyszło słabo. Nikt do niego nie dołączył, więc szybko zamilkł.

– Nie jestem kobietą, Cyra – odparł cicho Lichy. Twarz blondyna stężała, a zaraz potem pokryła się purpurą. Zapanował jednak nad sobą. Zrozumiał, że słowa Lichego przeznaczone były dla niego i nikt inny ich nie usłyszał. To nie był dobry moment na wszczynanie awantury.

Tymczasem Lichy dotarł już do drzwi, a nawet zdążył je otworzyć. W ostatniej chwili pomyślał, że mimo wszystko niegrzecznie jest wyjść bez pożegnania. Dlatego w progu odwrócił się i powiedział:

– Nie wiem, co tu robicie, ale ja wam się nie przydam. Nie zajmuję się już tym. Lepiej będzie, jak sobie pójdę.

– Czekamy – powiedział cierpko Krzywański.

– Słucham?

– Nie wiesz, co tu robimy, więc odpowiadam „czekamy”.

– Jak dla mnie, możecie sobie czekać nawet na Godota. Ale zapewniam, że prędzej on tu przyjdzie niż ja.

– Czekamy na morderstwo.

Lichy przeklął się w duchu, bo natychmiast zdał sobie sprawę, że jego wahanie trwało o ułamek sekundy za długo. Wciąż mógł jeszcze udawać, że usłyszana informacja nie zrobiła na nim wrażenia, ale nikt by już w to nie uwierzył. Gdyby teraz wyszedł, czekaliby, aż wróci. A nie chciał, by czekali. Gdzieś za oknem jakaś lokalna para oddawała się werbalnym potyczkom, on krzyczał, ona jeszcze głośniej. Słów nie dało się rozróżnić, ale czy w takich sytuacjach słowa naprawdę są ważne? Czy wczoraj nie kłócili się o coś innego? I czy jutro nie będzie tak samo?

– Cóż – powiedział Lichy i aż się zawstydził tak banalnym rozpoczęciem myśli. Cóż? Przecież ludzie tak nie mówią, do cholery. – Zawsze mi się zdawało, że wy macie zapobiegać morderstwom, a nie na nie czekać.

– No właśnie – przytaknął Krzywański, a Lichy chyba po raz pierwszy dostrzegł, jak bardzo zmęczony jest dowódca. Być może to sam odzyskał nieco przytomności i wróciła mu umiejętność dostrzegania szczegółów, którą tak w sobie cenił. Ba, którą uważał za jedyne, co posiada cennego w życiu. A być może nieprzyjemne, rozedrgane światło z brzęczących pod sufitem świetlówek tak wydobyło z twarzy Krzywańskiego wszystkie cienie i szarości, że teraz zdawała się w całości pokryta czerniejącymi porami oraz szpeceniastym, sztywnym zarostem człowieka pozbawionego ciepła i jakiegokolwiek miękkości.

– Usiądź – poprosił Krzywański głosem człowieka, któremu jest już wszystko jedno. – Opowiemy ci o szczegółach. Wiedz po prostu, że cię potrzebujemy.

– Nie. Nie wiem, kogo potrzebujecie, ale na pewno nie mnie.

– Zapewniam cię, Lichy, że...

– Myślicie, że was nie znam?! – krzyknął niespodziewanie Lichy i przetoczył ciężkim, nieprzyjemnym spojrzeniem po zgromadzonych. Zatrzymał się na blondynce. – Warszawska komisarz

z wydziału zabójstw. Usunięta ze służby za fałszowanie dowodów.

Blondynka się nie poruszyła. Ręce wciąż miała skrzyżowane na piersi. Tylko twarz jej stężała, a źrenice rozszerzyły się nieco, na tyle, by z jej spojrzenia wypłynęło jeszcze więcej nienawiści i pogardy.

– Obok kolejna komisarz z Warszawy – kontynuował Lichy wciąż podniesionym głosem. – Narkotyki, tak? Jak to się mówi, lubiąca przyjmować korzyści majątkowe. Po drugiej stronie Russek z Gdańska, specjalista od baz danych. Zwolniony za wprowadzanie poufnych informacji.

Mężczyzna o ewidentnie bliskowschodniej urodzie uśmiechnął się nieznacznie i niedbale przyłożył palec do czoła. Jakby chciał powiedzieć „no się ma, byku, tak, to właśnie ja”.

– O człowieku stojącym przy ścianie to nawet mi się nie chce gadać – kontynuował Lichy.

– I do tego wszystkiego jeszcze ty – parsknęła blondynka – bezdomny żul, wydalony ze służby za notoryczne pijaństwo.

– Tak – przyznał Lichy. – Właśnie. Do tego wszystkiego jeszcze ja. Więc co to jest, do cholery? Jakaś parszywa dwunastka? A ty? – zwrócił się do starszego mężczyzny. – Co ty zrobiłeś, że zasłużyłeś na wątpliwy zaszczyt przebywania z nami wszystkimi w jednym pomieszczeniu?

– Ja... – powiedział wąsacz i urwał na chwilę, jakby wpatrywał się w nieprawdziwe okno z nieprawdziwym widokiem i szukał prawdziwego natchnienia. – Ja jestem z was wszystkich najgorszy. Bo nie złapałem człowieka, który zamordował osiem kobiet.

Znów trochę za długa zwłoka. Znów nie uwierzą, że Lichy ma to wszystko gdzieś. Szlag...

– Życzę ci, byś go znalazł i odzyskał spokój – powiedział w końcu, już cicho i bez złych emocji. – A wszystkim pozostałym... No, czego tam sobie chcecie. Ja w każdym razie wychodzę. Nie potrzebuję tego rodzaju terapii. Ani odkupienia.

– Mówiłem wam – wysyczał Cyra, nie odrywając się od ściany. – To bezwartościowy śmieć. Nie, to cały kubeł na śmieci.

– Ten kubeł właśnie się wynosi. – Lichy się zaśmiał, ponownie chwytając klamkę. – Wasze kubły tego nie potrafią, no nie?

– I co będziesz teraz robił? – zapytał Błagojew, ten od baz danych. – Najebiesz się w parku?

„Powieści sensacyjne Brudnika są znakomite,
ale prawdziwy kunszt pisarski autor odkrywa
dopiero w kryminalnym „Szafarzu”.
Ależ to jest dobre!”

ROBERT MAŁECKI

Przerażająca zbrodnia, policjant, który nim złapie
mordercę, sam musi wrócić do świata żywych,
rozpaczliwe ruchy wymiaru sprawiedliwości
w przededniu wybuchu wielkiego skandalu i on,
zbrodniarz-artysta, cierpliwie czekający na Nowy
Rok, by jak co dwanaście miesięcy zaprezentować
kolejną odsłonę swojego wielkiego dzieła.

Grzegorz Brudnik powraca z miejskim kryminałem
noir, jakiego w Polsce dawno nie było.

Zima zawisła nad Śląskiem. Skąpane w błocie
świętochłowskie blokowiska, skute mrozem
bytomskie familoki i Katowice, które choć nigdy nie
zasypiają, i tak śnią najczarniejsze koszmary. Gdzieś
tam skrywa się morderca.

FILIA MROCNNA
STRONA

cena 49,90 zł

mrocznastrona.pl
wydawnictwofilii.pl



ISBN 978-83-8357-324-3



9 788383 573243